



Korzenie Gdyni

Stowarzyszenie Gdynńska Strefa Kultury prezentuje
mity i legendy Gdyni.

Wstęp

Publikacja powstała w ramach projektu *Korzenie Kultury. Baśnie i mity*, realizowanego przez Stowarzyszenie Gdynńska Strefa Kultury.

Dziękujemy wszystkim autorom i autorkom, którzy zgodzili się podzielić z nami swoimi pasjonującymi opowieściami!

Spis treści

Wstęp

I

Legenda o Rzanej Babie

3

Legenda o Wzgórzu Świętego Mikołaja

6

Był rok 1987

9

Babie Doły. Między wspomnieniami a kurortem przyszłości

15

Swelina i jej wielka miłość

19

Ulica Eugeniusza Kwiatkowskiego

23

Moje subiektywne Oksywie

26

Informacje o autorach

28

Legenda o Rzanej Babie

Michał Miegoń

Niewielu mieszkańców Gdyni pamięta dziś, gdzie znajdowała się Strasznicza. Było to przed wojną niewielkie osiedle domków, położone w miejscu obecnej ulicy Sibeliusa, w dzielnicy Cisowa. Mieszkali tu drobni rzemieślnicy, portowi robotnicy, oraz Kaszubi, żyjący tu w niewielkich chatkach, z dziada pradziada. Gdy nadchodziła cieplejsza pora roku, zarówno starsi jak i dzieci urzędowali na polach pełnych kwitnącego łąbinu, tam, gdzie obecnie znajduje się lokomotywnia.

Nikt już nie pamiętał, lub nie chciał pamiętać tego, iż sto lat wcześniej pochowano tam kilkadziesiąt dusz zmarłych na cholere. Skupiano się na ciężkiej pracy na roli, ale w nielicznych wolnych od niej chwilach zachwycano się okoliczną przyrodą. Młodzież romansowała, chłopaki puszczały oczko do dziewczyn z pobliskiego Ćmirowa i Chylonii. Ich rodzice zaś mieli ciężki orzech do zgryzienia gdyż ziemniaki nie chciały się przyjmować w niezbyt żyznej ziemi. A jednak było tu coś, co powodowało atmosferę skrywanej grozy i tajemnicy... Albowiem, gdy w bezwietrzny dzień nagle widać było poruszenie pośród łąnów zbóż oraz łąbinowych pól, zawracano do domostw lub



Michał Miegoń
fot. Magdalena Morawska

chowano się w cieniu, dopóki nagły poryw wiatru nie zmieni kierunku bądź nie ustanie. W nim bowiem krył się demon, prześladowający miejscową ludność od wielu lat, niektórzy mówią że od momentu gdy pierwszy Kaszuba postawił tu stopę.

Była to Rzana Baba, zwana również przez starsze pokolenie Południcą. Baba była przebiegła i gdy chciała się ujawnić w formie widzialnej dla oczu ludzkich, przybierała postać odzianej w całości na biało bladej kobiety w średnim wieku. Jej celem było uprzykrzanie życia mieszkańcom, którzy zagarniali jej coraz więcej przestrzeni, po której mogła wcześniej hulać z wiatrem i dla swojej satysfakcji gonić zwierzęta lub zsyłać wichury. Ponoć tam, gdzie stanęła w 'fizycznej' postaci na polach, natychmiast pojawiała się bagniste zagłębienie w ziemi, które tylko czekało na niewłaściwy krok przechodnia. Babę oskarżano też o wypadki i śmierć w polu. Gdy rolnik nagle zasłabł i osunął się na ziemię, oznaczało to zimny dotyk Południcy. Nie miała ona natomiast wstępu do zacienionych zakamarków i miejsc nie skąpanych w słońcu. Spokój z demonem mieli chociażby Skelnikowie, mieszkający nieopodal cienistego małego lasku przy obecnej granicy z Rumią... I nierzadko tam pędzili chłopci uciekający przez złośliwym duchem.

Z biegiem czasu niektóre drzewa rosnące na polach przystosowano do drzemek i odpoczynku, unikając otwartych przestrzeni. Napływowe *Bose Antki*, jak nazywano przyjezdnych przybywających do Gdyni w poszukiwaniu pracy,

śmiały się z opowieści starych Kaszubów. A jednak nierzadko bywało, że w ostatniej chwili wyciągano przerażonego *Antka* z bagna bądź wyjątkowo ostrych krzaków dzikiej róży. Jaka siła go tam zagnała – nie potrafił wytłumaczyć... Po wojnie jednak, gdy cały teren łubinowych pól nieopodal Cisowej zagarnął człowiek i przemysł, nie słyszano o psotach Rżanej Baby.. Choć po prawdzie, mało kto zapuszcza się na obszerne puste łąki otaczające ulicę Hutniczą. Może tak jest bezpieczniej?

Legenda o Wzgórzu Świętego Mikołaja

Paweł Niewiadomy

Chylonia to jedna z najstarszych dzielnic Gdyni. Wzmiankowana była już w dokumentach pochodzących z XIII wieku. Przez setki lat była to malownicza wieś położoną nad rzeczką Chylonką, otoczona przez zalesione wzgórza. Czy wiecie, że jedno z nich było świadkiem cudownych zdarzeń? Dziś miejsce to góruje nad ulicą Morską i nosi nazwę Świętej Góry. Jednak wielu osobom znane jest jako Góra Świętego Mikołaja...



Paweł Niewiadomy
fot. archiwum prywatne

Niezwykłe wzgórze już w czasach pogańskich otaczane było kultem. Gdy na Pomorze dotarło chrześcijaństwo, miejsce to szczególnie upodobał sobie święty Mikołaj, który według legendy niejednokrotnie objawiał się tutaj. Wieść o tym rozeszła się szeroko, nie dziwota więc, że okoliczni mieszkańcy chętnie tu przybywali, by zanosić świętemu swoje intencje. Ten zaś hojnie obdarzał swą łaską każdego, kto wspiął się na uświęcone wzgórze. Około 1770 roku, pochodzący z rodu Kurów, ówczesny sołtys Gdyni wznosił na szczycie kaplicę z figurą Mikołaja. Umocniło to jeszcze wśród miejscowej ludności kult świętego. Odtąd na święte wzgórze przybywały całe pielgrzymki.

Rosnąca popularność słynącej łaskami figury świętego Mikołaja był nie w smak luteranom, których z czasem coraz więcej pojawiło się nad Zatoką Gdańską. Znani ze swej niechęci do kultu świętych, z zazdrością spoglądali w stronę wzgórza, do którego lgnęły pielgrzymki katolików. Długo knuli, jak osłabić kult świętego, aż wpadli na niecny pomysł... Pewnej nocy kilku niegodziwych luteranów zakradło się na wzgórze, wykradło cudowną figurę i ukryło ją w sobie tylko znanym miejscu. Dumni z siebie złodzieje powrócili do domów. Jak wielkie było ich zdziwienie, gdy rano okazało się, że figura świętego wróciła na swoje miejsce!

Luteranie nie dali jednak za wygraną. Przez kolejne kilka nocy wykradali rzeźbę i wynosili ją do coraz to dalej położonych i bardziej wymyślnych kryjówek. Święty zawsze jednak, w sobie tylko znany sposób, wracał na miejsce, które sobie upodobał. Wściekli złodzieje posunęli się w końcu do wyjątkowej niegodziwości. Aby figura nie wróciła już na swoje miejsce, obcięli jej nogi! Świętego nie powstrzymało nawet to. Następnego dnia kompletna rzeźba znów spoglądała na Chylonię ze swojego wzgórza.

W końcu jednak i u świętego wyczerpuje się cierpliwość... Pewnej nocy Mikołaj wyruszył ze swojego wzgórza i już nigdy nie wrócił. Mówią, że cudowna figura powędrowała do wzniesionego w Chyloni kościoła pod wezwaniem właśnie świętego Mikołaja...

Święty nie zostawił jednak swoich wyznawców z niczym. W miejscu, gdzie stała figura wytrysnęło cudowne źródło. Jego woda leczyła ponoć ślepotę. Przeprowadzano tu zatem wszystkich ociemniałych, którym pobłogosławiona przez Mikołaja woda pozwalała przejrzeć na oczy. Z tej łaski świętego jednak ludzie znów zadrwili. Oto pewien rolnik przyprowadził tu swojego ślepego konia i przemył jego oczy wodą ze źródła. Zwierzę wprawdzie odzyskało wzrok, jednak jego pan oślepl, a tutejsza woda nie przyniosła już nikomu uzdrowienia.

Czy to jednak koniec cudów związanych z tym miejscem? Chyba jednak nie. Święta Góra wciąż zaskakuje tych, którzy ją odwiedzają. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku – i to nie jest już legenda – odnaleziono tu różne stare monety i święte medaliki. Wśród nich był słynny *Postrach demonów* – medalik z podobizną świętego Benedykta. Cudowny przedmiot znajduje się dziś w Muzeum Miasta Gdyni i, jak wierzy wielu, chroni nadbałtyckie miasto przed wszelkimi nieszczęściami...

Był rok 1987

Dariusz Kołodziejcki

był rok 1987... zdałem maturę... drugie podejście...
rok wcześniej zostałem ukarany za całokształt
swojej krnąbrnej postawy w jedynym z gdyńskich
liceów...

przez 4 lata przygotowywałem się do podjęcia
nauki wyższej szkole morskiej...

klasa matematyczno-fizyczna...

po wojnie dziadek i ojciec pracowali w *dalmorze*...
dziadek na *tralowcach* obrabiał ryby... ojciec był
mechanikiem chłodzi...

a ja... ja chciałem zostać kapitanem...

wiedziałem... że nasz rocznik popłynie *Darem*
Pomorza do Australii na zaproszenie

australijskiego rządu, który hucznie chciał uczcić
w roku 1988 200 rocznicę powstania państwa i
zaprosił wszystkie największe żagłowce świata...

no cóż... matury nie zdałem... a moje marzenie jak
bańka mydlana...

Dar Pomorza odpłynął beze mnie...

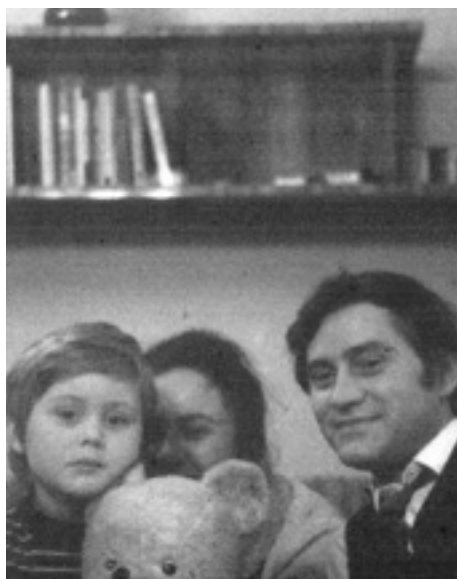
marzenie jak bańka...

postanowiłem opuścić kraj... kierunek Australia...
dzień przed wyjazdem poszliśmy z przyjaciółmi
na piwo... pożegnanie...

a właściwie na wino/wódkę... bo w tym czasie
rzucali kratę na sklep i piwo znikало w 15 minut...
zdawałem sobie sprawę... że Gdyni nie zobaczę
przez następnych kilkanaście lat

.....

przerwaliśmy stowę z Waryńskim na dwa



Dariusz Kołodziejcki
fot. archiwum prywatne

kawałki... napisaliśmy datę i swoje imiona... każdy,
kto pojawi się z częścią stowy z Waryńskim
będzie jak brat...
jak przyjaciel...

kierunek Australia przez Niemcy...
dziadek przyjechał do Gdyni z babcią na rowerze
z poznańskiego... w latach 30.
kiedy rząd II RP zdecydował się na zbudowanie
własnego okna na świat...
oboje pochodzili z wielodzietnych rodzin... 13...
5... przyjechali za pracą...
dziadek był fryzjerem... babcia fryzjerką...
dziadek próbował swojego szczęścia w kasynach
Sopotu i Gdańska
był *przedsiębiorczy*... liczył na szczęście... i je miał...
w 1937 pojawił się mały Zdzisław... mój ojciec... 2
lata później... ciocia lila...
wybuchła wojna...
dziadek pracował w zakładzie fryzjerskim w
Redłowie na terenie, na którym po zajęciu Gdyni
powstała baza niemiecka...
parę dni później... dziadek został zaproszony do
biura komendanta bazy...
czekał na niego dokument do podpisania
volkslista....
albo... Stutthof (Sztutowo)... z całą rodziną...
wybrał *listę*
po miesiącu... przydział do wermachtu... obrona
przeciwlotnicza...
po wypowiedzeniu przez Niemców wojny Rosji...
front wschodni...
dziadek kolaborował z Rosjanami... sprzedawał

im paliwo i kamienie do zapalniczek... ciął drut
na małe kawałki...

zima... okrążenie...

dziadek przebiegając przed strzelającym czołgiem
rosyjskim...

został ranny... poparzenie twarzy... znaleźli go w
śniegu żołnierze rosyjscy...

dzięki *znajomości* języka *słowiańskiego*... po
słowach:

– no szto?

– ubijom!

wyrwał do lasu... czując kule przelatujące w
powietrzu...

przeszedł przez front i dotarł do oddziałów
niemieckich...

sytuacja była praktycznie bez wyjścia... tłum
rannych...

ostatni samolot zabierający żołnierzy z
okrążenia...

z samolotu wyszedł pilot i powiedział :

– zabieramy tylko swoich...

po czym zaczął wskazywać palcem na szare
mundury...

wskazał na dziadka... *obrona przeciwlotnicza*...

pobyt w szpitalu w Czechach... rehabilitacja...

front zachodni... Francja...

podczas ewakuacji jednostki przed zbliżającymi
się oddziałami amerykańskimi...

pociąg... został ostrzelany przez samoloty...

dziadek wykorzystał moment na dezercję...

znalazł się w czeskiej partyzantce...

po zakończeniu wojny trafił do Oświęcimia, który

został przerobiony po wyzwoleniu na obóz dla
niepewnych politycznie i wrogów systemu

kierunek Gdynia...

w Oświęcimiu dziadek pracował w swoim
pierwotnym zawodzie... fryzjer...

u fryzjera jak u psychologa... gada się o
wszystkim...

kiedy zameldował się do transportu w kierunku
północnym...

rosyjski szef obozu podczas strzyżenia:

– Pjoter... to na sybir...

uwolnienie...

przepełnionym pociągiem... na dachu... do
Gdyni...

w końcu Gdynia!

wyjazd do Niemiec... kierunek Australia

stary golf i dwóch emigrantów, z którymi
załapałem się w drogę do Hamburga...

Andrzej skoncentrowany za kółkiem...

Darek (+) czytał felietony z zabranych ze sobą
gazet z polski...

byli w Gdyni na urlopie i nie mieli czasu na
czytanie gazet... bawili się dobrze...

zarabiano się w roku 1987 w Polsce 100 marek
miesięcznie...

kiedy w teatralnej kawiarence w teatrze
muzycznym zabrakło szampana...

dziewczyny skakały po nowego do hotelu
Gdynia...

Darek czytał na głos wspomnienia emigrantów z
Polski do Amsterdamu....

pracowali przy odszczurzeniu kanałów...
jednego zjadły szczury... drugi wrócił do kraju bez
ręki...
dobrze się zaczyna... ta podróż do Australii,
pomyślałem...

po 2 miesiącach pobytu w obozie dla
przesiedleńców...
w hali sportowej gdzie spało 200 osób... kobiety...
dzieci... mężczyźni...
starzy ludzie...
dostałem obywatelstwo niemieckie... po
dziadku... w wermachcie...
droga do Australii była otwarta...

miłość...
w kraju zostawiłem dziewczynę... miałem 20 lat...
ona 17...
nie dałem rady... zostałem w Niemczech...
dziewczyna przyjechała po roku...

miłość do Gdyni...
skończyłem studia..... ożeniłem się ...
rozwiodłem...
ale co najważniejsze... rzuciłem palenie...
po jakimś czasie zauważyłem... że w portfelu
zostają pieniądze...
pojawił się internet... portale kupię - sprzedam...
to co zostawało w portfelu zacząłem inwestować
w pocztówki...
pocztówki z Gdyni... kolorowe... powojenne...
fajnie wyglądały na portalu... a w rzeczywistości
przypominały zmiętą gazetę...
trafiła się przypadkowo pocztówka z Gdyni z

okresu okupacji...
fotograficzna... nie drukowana... na papierze
barytowym...
zeskanowałem... i studiowałem godzinami...
starając się *odczytać* każdy fragment... każdą
literkę... każdą cyfrę...
kupiłem kolejnych dziesięć na jednej aukcji... i
uzależniłem się...
bardziej niż od papierosów...
prawdziwy nałóg...
zacząłem kupować wszystko, co związane było z
Gdynią w okresie okupacji...
pocztówki... gazety... filmy... pamiątki...
były miesiące... kiedy jadłem tylko makaron,
który popijałem wodą z kranu...
zaciągałem długi... dla tych pocztówek...
kolekcja rosła z roku na rok... zrobiłem stronę
internetową...
po 10 latach to największy zbiór pocztówek z
tego okresu na świecie...
kupa wyrzeczeń... i czasu, którego nie da się
przeliczyć na pieniądze...
każdego dnia obserwuję aukcje w poszukiwaniu
nowej pocztówki...
miłość do Gdyni...
tego nie zrozumie nikt... kto tam mieszka, bo nie
tęskni...

ps. materiał na pierwszą stronę kupił dla mnie
Oskar... do dzisiaj posiada przerwana stowę z
Waryńskim...

Babie Doły. Między wspomnieniami a kurortem przyszłości

Katarzyna Gajewska

Babie Doły to najdalej wysunięta na północ dzielnica Gdyni. Została włączona do obszaru miasta dopiero 1 stycznia 1972 roku. Czyli 9 lat i 10 miesięcy przed moimi narodzinami.

Obecnie mieszkam w Redłowie, ale to Babie Doły są dla mnie najważniejszą dzielnicą Gdyni. Tam się wychowałam, tam powstawały moje pierwsze wspomnienia. Z kuchennego okna widziałam codziennie zatokę, a w pogodniejsze dni - Półwysep Helski. Poza okresem zimowym niemal codziennie byłam na plaży. Razem z dziećmi z bloku skakaliśmy po skarpach, włączaliśmy do bunkrów i do czołgu, który niegdyś stał nad brzegiem. Na polankę, w sekrecie przed rodzicami, chodziło się palić ogniska i papierosy. Nic już obecnie nie jest tam takie, jak było w czasach mojego dzieciństwa. Plaża jest coraz mniejsza, za to powstał krótki bulwar. Nie ma też czołgu. Nawet nie wiem, co się z nim stało.



Katarzyna Gajewska
fot. Joanna Kowalczyk

W przewodniku z 1920 roku (*Na kaszubskim brzegu*) Bernard Chrzanowski napisał: *Babi Dół to najdłuższy i najdziwszy nadbrzeżny jar. Długi prawie dwa kilometry*. Legendy mówią, że Babi Dół był

kiedyś miejscem urzędowania piratów. Podobno mieszkwały tutaj także dwie czarownice, które gnieździły się w wąwozie, strzegąc pirackich skarbów. Po obrabowaniu statku piraci i czarownice urządzali sobie pijatyki i orgie. Czarownice podobno porywały także dzieci i oddawały piratom na wychowanie. Legendy mówią, że w końcu wiedźmy zostały spalone na stosie. Na ich pamiątkę jar nazwano Babim Dołem. Nazwa wyewoluowała później (prawdopodobnie na skutek pomyłki) w Babie Doły.

Znakiem rozpoznawczym Babich Dołów jest Torpedownia, tworząca w czasie II wojny światowej Tajny Ośrodek Badawczy Hexengrund (*Ziemia Czarownic*). Plaża i torpedownia zagrały w serialu *Czterej Pancerni i Pies* - w VIII odcinku pt. *Brzeg morza*. Pancernych puszczano wtedy w TV każdego lata. Pamiętam, że najbardziej czekaliśmy właśnie na ten odcinek, gdzie będzie NASZA plaża i NASZA torpedownia. Podobno w scenach batalistycznych zagrali żołnierze i pracownicy obsługi lotniska w Babich Dołach. Na torpedownię było wiele różnych pomysłów, np. widziano tam hotel czy muzeum. O torpedowni krążyły między dziećmi różne legendy. O szkieletach hitlerowców, które do dzisiaj tam bieleją. A nawet o żywych niemieckich żołnierzach, którzy nadal rzekomo się tam ukrywają. Torpedownia stanowiła także element rytuału przejścia. Chłopcy udawadniali swoją siłę starając się do niej dopłynąć. Ci, którym się to udało, mogli liczyć na powszechny podziw

rówieśników. Oczywiście nasi rodzice nie dzielali tego entuzjazmu.

Na plaży zbieraliśmy także pioruny - małe, podłużne kamienie, w kolorze przypominającym matowy krzemień, z tunelem biegnącym przez całą jego długość. Całe dzieciństwo wierzyłam, że kamienie te powstają, kiedy piorun uderzy w piasek. Oczywiście prawdziwe pochodzenie tego kamienia jest zupełnie inne, ale równie imponujące. Kamień piorunowy to, jak się okazuje, skamieniały wyrostek wymarłego morskiego głowonoga - Belemnita. Wymarły około 66 milionów lat temu, a my nadal znajdujemy ich skamieniałe dzióbki na plaży. Przez dawnych Słowian był on używany jako amulet. Co ciekawe - jeszcze w XIX wieku wierzono, że jest zastygniętym w skale piorunem.

Na Babich Dołach było sporo miejsc na tworzenie baz, wymykanie się i eksplorowanie świata. Takimi kryjówkami były Rybaki, ogródki działkowe oraz lotnisko. Tam oczywiście dostępu bronił płot, tym bardziej było to kuszące, aby tam się znaleźć. Teraz lotnisko jest o wiele bardziej dostępne - każdego lata podczas festiwalu Open'er. Powoli znikają przestrzenie magiczne, zamknięte, niedostępne zwykłym śmiertelnikom czy dorosłym. Na Babich Dołach planowane są jeszcze większe zmiany. Ma powstać tutaj kurort, dostępna powszechnie plaża. Już od jakiegoś czasu mieszkańcy bloków przy ulicy Dedala, czyli tej przy samej skarpie, bronią się przed tymi

zmianami odgradzając przyblokowe parkingi szlabanami.

Swelina i jej wielka miłość

Ewa Kowalska

W zamierzchłych czasach, kiedy Gdynia była jeszcze niewielką osadą rybacką, na otulonej lasami polanie w Bernadowie, samotnie mieszkała dwudziestoletnia Swelina. Natura nie obdarzyła dziewczyny szczególną urodą, w zamian za to otrzymała dobre serce - nie dziwiło zatem, że wszyscy mieszkańcy wsi i okolic ją uwielbiali.

Swelina kochała przyrodę - rozmawiała z ptakami licznie zamieszkującymi pobliskie lasy, zimą dawała schronienie zmarzniętej zwierzynie, a żywiła się jedynie tym, co urodziła ziemia.

Któregoś wieczoru do jej drzwi ktoś trzykrotnie zapukał. Swelina była bardzo ufna, więc ochoczo otworzyła drzwi, w których stanął nieznajomy. Gość okazał się pochodzącym z Mazowsza kupcem, który zabłądził w drodze do Gdańska. Zapytał dziewczynę o nocleg, wieczerzę i schronienie dla zmęczonego wierzchowca. Swelina przygotowała gorącą strawę, zaopiekowała się rumakiem i umościła posłanie dla umęczonego gościa. Bolesław, bo tak miał na imię podróżny, zasnął natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki, a kiedy rano otworzył oczy, pochylała się nad nim uśmiechnięta dziewczyna. Bolesławowi zrobiło się ciepło na sercu i odwzajemnił uśmiech.

Obowiązki kazały przybyszowi ruszyć w drogę natychmiast po śniadaniu, a odjeżdżając wręczył dziewczynie sakiewkę pełną złotych monet. Swelina odmówiła przyjęcia zapłaty, w zamian na



Ewa Kowalska
fot. archiwum prywatne

drogę obdarzyła gościa serdecznym uśmiechem. Jej twarz jakby wypiękniała.

Młody kupiec odjechał...

Miesiąc później Swelina ponownie usłyszała znajome pukanie. Podbiegła do drzwi i radośnie powitała Bolesława. Tego wieczora długo ze sobą rozmawiali. Tak wiele ich łączyło. Rano Bolesław ponownie ruszył w drogę, ale pukanie do drzwi rozlegało się coraz częściej, a twarze młodych coraz bardziej promieniały. Któregoś razu Bolesław poprosił Swelinę o rękę i pozostał w Bernadowie.

Bolesław i jego wybranka rozpoczęli wspólne życie. Los nie dał im dzieci, ale mimo tego czuli się najszczęśliwszą parą na świecie. Często wędrowali wzdłuż wartkiego potoku do zaprzyjaźnionego rybaka, który zawsze częstował ich świeżutkimi pomuchłami.

Rybak miał niezwyklej urody córkę - Jadwigę. Wszyscy okoliczni młodzieńcy starali się o jej względy, ta jednak traktowała ich lekceważąco, wciąż czekała na swojego księcia z bajki, aż w końcu pozostała sama. Kiedy któregoś dnia zobaczyła Bolesława... postanowiła odebrać go Swelinie. Jej liczne zabiegi nie dawały jednak efektu, Swelina pozostawała najbliższa sercu Bolesława.

Któregoś dnia ukochana żona byłego kupca ciężko zachorowała. Resztkami sił poprosiła męża, aby poszedł do Jadwigi, która była zielarką. Bolesław natychmiast pobiegł do chaty nad morzem i ze łzami w oczach błagał córkę rybaka o sporządzenie mikstury ratującej życie. Jadwiga słodko się uśmiechnęła i po chwili podała Bolesławowi buteleczkę z lekiem, przedtem

jednak zaproponowała mu uodparniający syrop. Mąż Sweliny z wdzięcznością łyknął łyżkę mikstury, nie wiedząc, iż był to eliksir miłości. Czym prędzej pobiegł do ukochanej i podał jej lekarstwo. Rano Swelina ozdrowiała.

Na prośbę żony szczęśliwy Bolesław pobiegł do Jadwigi, aby podziękować jej za uratowanie życia. Córka rybaka zaprosiła męża Sweliny do chaty i w tym momencie... zaczął działać eliksir miłości. Bolesław objął Jadwigę i gorąco ją pocałował. Nagle poczuł przeszywający, zimny ból - jakby mu ktoś wbił w serce sztylet wystrugany z lodowej bryły. Natychmiast odepchnął przebiegłą Jadwigę i co sił popędził do domu. Kiedy wpadł do izby, zastał swoją ukochaną martwą...

Zrozpaczony Bolesław pochował lubą pod czarną olchą, rosnącą w połowie długości potoku i zapłakał. Łzy takimi strumieniami płynęły po twarzy nieszczęśliwca, że po chwili powstał na potoku niewielki staw.

Po kilku dniach Bolesław opuścił Bernadowo. Wrócił w swoje rodzinne strony, gdzie został bardzo bogatym kupcem, ale niestety już nigdy nie zaznał szczęścia.

A Jadwiga? Wszelki słuch po niej zaginął - może pochłonęły ją morskie fale, a może padła ofiarą leśnej zwierzyny, tak zaprzyjaźnionej ze Sweliną. Nikt o niej nie pamiętał, nikt do niej nie tęsknił.

Na pamiątkę pięknej duchem dziewczyny mieszkańcy nazwali potok mający źródła w Bernadowie - Sweliną, a zbiornik wodny utworzony z łez Bolesława - Stawem Mazowieckim. Do dzisiaj w zbiorniku żyją polodowcowe organizmy - wypławki alpejskie (*Crenobia alpina*), będące pozostałościami

lodowatego ostrza, które przebiło serce Bolesława w momencie, kiedy pocałował przebiegłą i zawistną Jadwigę.

Ulica Eugeniusza Kwiatkowskiego

Piotr Dwojacki

Przy niej – molo i plaża, dwie parafie, rynek i tory kolejowe. Skrzyżowana ze Świętojańską. Ulica nosząca imię Eugeniusza Kwiatkowskiego, postaci niezwykle zasłużonej dla Gdyni i dla Polski, nie tylko Polski Morskiej.

Taka ulica to nie wizja przyszłości. Ona rzeczywiście istniała – i istnieje do tej pory, choć w międzyczasie uległa skróceniu, a rynku, plaży i torów kolejowych trudno przy niej szukać.

Nic nie wiadomo o jej nazwie w czasie gdy Gdynia stawała się miastem – stare mapy pokazują, że istniał jedynie jej fragment łączący kościół z plażą u północnego podnóża Kamiennej Góry. Imię zyskała już po 1928 roku, gdy Eugeniusz Kwiatkowski, ówczesny minister przemysłu i handlu, znalazł się gronie trzech pierwszych honorowych obywateli Gdyni – wraz z Ignacym Mościckim i Józefem Piłsudskim. Wszyscy trzej wyróżnieni mają swoje ulice na planach miasta z połowy lat trzydziestych dwudziestego wieku (nie, nie było wtedy znanych nam współcześnie wątpliwości, czy można nazywać ulice i obiekty imionami żyjących patronów – był zatem i portowy basen im. Ministra Kwiatkowskiego, i – w zupełnie innej części Polski – szyb naftowy o identycznej nazwie).

W 1939 zaszła zmiana. Niemcy natychmiast po podbiciu miasta próbowali odrzec je z tożsamości, także z nazw. Jak doniosły londyńskie



Piotr Dwojacki
fot. Dominik Werner

„Wiadomości Polskie” na kilka dni ulica Kwiatkowskiego stała się... Blumenstrasse, czyli Kwiatową. Dopatrzone się widać niezręczności tej zmiany – natychmiast nadano jej za patrona nazistę, niejakiego Petera Gemeindera, by chwilę później przemianować ją na kolejnych pięć mrocznych lat na Bismarckstrasse, na cześć pruskiego kanclerza.

Koniec wojny przyniósł powrót do polskich nazw. Eugeniusz Kwiatkowski powrócił nie tylko jako patron gdyńskiej ulicy, ale też jako osoba zaangażowana w kierowanie odbudową Wybrzeża ze zniszczeń wojennych. Gdy w 1948 przedwojennego wicepremiera usuwano z powojennego życia publicznego, także los nazwy ulicy został przesądzony. W 1949 roku myślano ponoć, by przemianować na Przodowników Pracy, ale w końcu stała się ulicą 22 Lipca. Legenda głosi, że tabliczka z nazwą ulicy przetrwała do początku lat sześćdziesiątych. Postawiono przy niej Hotel Gdynia, Teatr Muzyczny (z adresem przy Placu Grunwaldzkim), ale skrócono ją o krótkie fragmenty na początku (od strony morza) i końcu (przy torach kolejowych).

I tak ulica zmieniała się, ale trwała aż do 9 lutego 1991. Tego dnia przywrócono imię Eugeniusza Kwiatkowskiego jednemu z portowych basenów. Ulica jednak nie wróciła do swojej historycznej nazwy, poświęcono ją Armii Krajowej.

Gdy współcześnie staniemy na południowym falochronie basenu jachtowego w Gdyni, nazwanego współcześnie Aleją Żeglarsstwa Polskiego, pomyślmy chwilę: tu zaczynała się ulica Eugeniusza Kwiatkowskiego. Wystarczy przejść kilkadziesiąt metrów prostopadle do morskiego

brzegu i spojrzeć przed siebie – to właśnie ta ulica. A jeśli przyrzyć się numerom budynków przy niej położonych, odkryjemy, że najniższy numer nieparzysty to 9, a parzysty – 22. Ale to już inna historia.

Moje subiektywne Oksywie

Elżbieta Wierszko

*Przeszłość zachowana w pamięci
staje się częścią teraźniejszości.*

T. Kotarbiński

Dawno, dawno temu, czyli prawie 40 lat temu Oksywie Górne przypominało małe miasteczko z kościółkiem i cmentarzem, szkołą podstawową, biblioteką w prywatnym domu i sklepem wielobranżowym. Mój pierwszy dzień tutaj nie był najszczęśliwszy – nie dostałam etatu w Szkole Podstawowej nr 33 i przez całe wakacje rozmyślałam, jak inaczej wykorzystać swoje „rozległe” umiejętności. Po roku wróciłam jako lokatorka jednego z mieszkań w budowanych czteropiętrowych blokach przy ul. Płk. Dąbka z widokiem na „33” i dziewiczy plac, który dzieci wykorzystywały w dawnym stylu (bez trzepaków!).

Po lewej stronie ul. Bosmańskiej, w tzw. górkach, latem można było się opalać, zimą zjeżdżać na sankach, przed spacerami po dzikim lesie powstrzymywały straszne opowieści o wisielcach, a wyprawa na oksywską plażę była nie lada wyzwaniem.

40 lat później na Oksywiu nie zmienił się chyba tylko Kościół pw. Św. Michała Archanioła ufundowany w 1224 roku przez księcia Świętopełka. Przechodził różne koleje losu, na zmianę niszczone i odbudowywany, po II wojnie światowej otrzymał wewnątrz w stylu wiejskiego kościoła parafialnego.* Wciąż wznosi się na skarpie, z którą związane są oksywskie legendy.

Po 40 latach nie do poznania zmieniło się Oksywie. To nie tylko najstarsza dzielnica Gdyni, to dzielnica z rozmachem wchodząca w nowoczesność, realizująca śmiało pomysły w zakresie budownictwa i infrastruktury, dbająca o estetykę przestrzeni społecznej i wygodę mieszkańców. Ja już nie mieszkam w bloku, uprawiam ogródek wokół domu przy ulicy, o której mówi się, że nie ma sobie równej, a mój pięcioletni wnuk Teodor właśnie tu chciałby mieszkać „najbardziej na świecie”!

I chociaż dawno, dawno temu, kiedy byłam młoda, wszystko wyglądało inaczej, to cieszę się terażniejszością.

Informacje o autorach

Michał Miegoń

Muzyk, producent, animator kultury i najmłodszy członek **Koła Starych Gdynian**. Prowadzi stronę **Inne Szlaki**, na której opisuje nieznaną szerzej atrakcję historyczną miasta i rozmaite ciekawostki związane z dziejami Gdyni. Przewodnik po tajemniczej stronie miasta.

Jako wokalista i gitarzysta (m.in. grupy **Kiev Office** i **The Shipyard**) ma na koncie kilkanaście płyt, występy na takich festiwalach jak Opener, Off Festival, Jarocin czy Męskie Granie. Twórca i właściciel studia nagrań **Sound 8**.

inneszlakigdynia@gmail.com

www.inneszlaki.com.pl

www.facebook.com/inneszlaki

Paweł Niewiadomy

Urodzony w 1985 roku w Gdańsku. Ukończył filologię polską, historię oraz gedanistykę na Uniwersytecie Gdańskim. Jest autorem sztuk teatralnych i scenariuszy filmowych oraz wielbicielem Trójmiasta. Pracuje jako historyk w jednym z wydawnictw edukacyjnych.

Dariusz Kołodziejcki

Urodzony w 1967 w Gdyni, projektant, ukończył kierunek sztuka użytkowa.

www.gotenhafen.com

Katarzyna Gajewska

Urodzona w 1982 roku w Gdyni, kulturoznawczyni, prowadzi bloga www.gajapisze.pl.

Ewa Kowalska

Gdańszczanka, absolwentka Politechniki Gdańskiej, autorka poświęconego Trójmiastu serwisu www.iBedeker.pl.

Organizatorka bezpłatnych dla mieszkańców spacerów z przewodnikiem, inicjatorka i realizatorka projektu skierowanego do przedszkolaków - Młody Przewodnik/Młoda Przewodniczka po Gdańsku.

Za aktywność w promowaniu miasta została uhonorowana przez Radę Miasta Gdańska Medalem Księcia Mściwoja II.

Prywatnie mama czwórki dzieci i babcia trojga wnucząt, miłośniczka całorocznych morskich kąpiel i nordic walking.

Piotr Dwojacki

Dr Piotr Dwojacki, wykładowca zarządzania w Wyższej Szkole Administracji i Biznesu im. Eugeniusza Kwiatkowskiego w Gdyni. Współautor i wydawca książki „Archiwum morskie Eugeniusza Kwiatkowskiego”.

www.kwiatkowski.edu.pl

www.dwojacki.pl

Elżbieta Wierszko

Absolwentka UAM w Poznaniu, nauczycielka języka polskiego, animatorka warsztatów aktywności twórczej, współorganizatorka salonów literacko-artystycznych oraz klubów czytelniczych; na emeryturze zaangażowana studentka Gdynskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Członkini Towarzystwa Kultury Teatralnej oraz Towarzystwa Szekspirowskiego. Publikowała m.in. w antologii „Poeci i pisarze Sopotu” (2014). Współpracuje z gdyńską YMCA i Cafe Księgarnia Vademecum. Wolontariuszka w projekcie Miasto Słowa (NLG).